

Afryka Nowaka

Wyprawa szlakiem Kazimierza Nowaka



Etap XVII – spływ rzekami Lulua, Kassai. Kongo (marzec, kwiecień 2011)

www.afrykanowaka.pl

http://afrykanowaka.pl/etapy/etap-17-zagubiona-rzeka-lodzka-przez-dr-konga-1000-km-rzekami-lulua-kasai-i-congo_6823.html

Misja wyprawy

...najpierw sąsiad, później dom-najpierw towarzysz, później droga.

Z Trypolisu w północnej Afryce do Przylądka Igielnego

na jej południowym krańcu i ponownie na północ do Algieru, nad Morzem Śródziemnym – oto trasa naszej wyprawy.

Wiernie odtwarzamy szlak Kazimierza Nowaka, czyli podróżujemy rowerem, pociągiem (300 km), statkiem, konno (3 000 km), czółnem, pieszo i na wielbłądzie.

40 tysięcy kilometrów przez afrykańskie bezdroża.

24 etapy o długości ok. 1500–1800 kilometrów miesięcznie.

18 państw.



W latach 1931-1936, jako pierwszy człowiek na świecie trasę tę pokonał w samotnej wyprawie **Kazimierz Nowak** – „tytan stalowego hartu i potentat niezłomnej woli”. Jego niezwykle wyczyn nigdy nie został należycie doceniony.

Naszą wyprawą chcemy przypomnieć o tym niezwykłym człowieku i jego podróży. Chcemy propagować postać i dokonania Kazimierza Nowaka w kraju i za granicą. Liczymy, że naszą wyjątkową wyprawą zwrócimy uwagę na jego osiągnięcia i zapewnimy należne miejsce wśród najwybitniejszych podróżników i odkrywców.

W relacjach ze swojej wyprawy Nowak bardzo dużo uwagi poświęcał ludziom. Podczas gdy cały świat widział w Afryce głównie kolonie i bogactwa naturalne, Nowak dostrzegał przede wszystkim człowieka i problemy społeczne. Dopiero dzisiaj, w obliczu współczesnych kryzysów dotyczących Afrykę, widać wizjonerstwo i mądrość takiej oceny.

Naszą podróż „po latach” chcemy podporządkować właśnie zainteresowaniu ludźmi. Nie wyruszamy na Czarny Ląd po to żeby oglądać, lecz żeby poznawać. Chcemy przeżywać miejsca, do których dotrzemy. Kazimierz Nowak pokazał, że dysponując podstawową wiedzą o kulturze i mentalności napotkanych ludzi i traktując ich z szacunkiem należnym każdemu człowiekowi można zjednać ich życzliwość. Pomoc, na którą liczymy ze strony napotkanych ludzi będzie niezbędnym warunkiem sukcesu wyprawy. Mottem naszej podróży będzie afrykańskie przysłowie: najpierw sąsiad, później dom – najpierw towarzysz, później droga. Wierzymy, że dzięki takiemu podejściu szczęśliwie pokonamy całą trasę, którą zakończymy w Algierii.

Cele wyprawy

Promocja osoby Kazimierza Nowaka i jego dokonań na arenie międzynarodowej. Uważamy, że warto pokazać światu, że przed wojną był człowiek, który w niecodzienny sposób, jak na tamte czasy, myślał o Afryce, jej mieszkańcach i odkrywał Czarny Ląd.

Hołd i popularyzacja w Europie i Afryce osoby wielkiego, polskiego, nieustraszonego podróżnika.

Kontynuacja dzieła reporterskiego Kazimierza Nowaka a także Ryszarda Kapuścińskiego – zbieranie i aktualizowanie informacji o Afryce – w 2010 roku mija prawie 80 lat od wyprawy Nowaka (1931-36) oraz 50 lat po 1960 roku, w którym, 17 państw afrykańskich dekolonizowało się – Afryka stała się „niepodległa”.

Działalność wspierająca społeczności lokalne.

Popularyzowanie Afryki – jej piękna, różnorodności, tempa i prostoty jako alternatywy dla globalizacji i komercjalizacji świata.

Projekty związane ze sztafetą

– realizacja profesjonalnego filmu dokumentującego całą wyprawę

– wydanie reportażu z wyprawy w formie książki

– umieszczenie tabliczek upamiętniających podróż Kazimierza Nowaka w wybranych miejscach na trasie

Uczestnicy:

Andrzej Ziółkowski

Janusz Adamski



Spojrzenie afrykańskiego laika...

Spotkanie z Piotrem Sudołem i Zbyszkiem Sasem w pewnej szczecińskiej kawiarni gdzie pierwszy raz „poznałem” Kazimierza Nowaka oraz wizję sztafety jego imienia, zaowocowało lekkim mętlikiem w głowie i pogmatwało plany podróżnicze na najbliższe dwa lata. Nie jestem fanem Afryki, nie podoba mi się historia jaka była udziałem tego kontynentu ani współczesność wycierająca z książek i reportaży. Ale skala planowanego przedsięwzięcia zrobiła na mnie wrażenie, a zaproszenie mnie do udziału w nim sprawiło mi dużą przyjemność. Podjęcie decyzji nie zajęło mi dużo czasu, jakieś dziesięć sekund...

Byłem przekonany, że organizatorzy imprezy mają świadomość, iż przeważnie wyruszę w drogę samotnie. A już na pewno unikam towarzystwa tzw. „niesprawdzonego”. Dlatego też było dla mnie zaskoczeniem kiedy okazało się, że jeszcze kilka osób ewentualnie wyrażało chęć uczestnictwa w XVII etapie sztafety. Cóż- słowo się rzekło, nie miałem zamiaru wycofywać się tylko z tego powodu. Tym bardziej kiedy zapoznałem się ze szczegółami i lepiej poznałem sytuację polityczną jaką mieliśmy zastać w Demokratycznej Republice Kongo. Wszyscy określali etap jako trudny, zarówno jeśli chodzi o warunki przyrodnicze jak i dyktaturę, która w tej części świata ma się wyjątkowo dobrze. Zresztą jeśli w nazwie danego państwa mamy, aż dwa poważnie brzmiące określenia, to najczęściej nie wróży nic dobrego... Z drugiej strony doświadczenie mi mówi, że rzeczywistość zazwyczaj jest mnie groźna niż z początku nam się wydaje i z tego założenia staram się wychodzić. Co nie oznacza, że można sobie odpuścić cykl przygotowań i całą logistykę, minimalizując ewentualne niebezpieczeństwa. Przygotowaliśmy się tak jak tylko to było możliwe, staraliśmy się za wszelką cenę unikać nieciekawych sytuacji, ale była to chyba moja pierwsza imprezka, kiedy tak często cieszyłem się z obecności mojego towarzysza wyprawy- Janusza Adamskiego (pozdrawiam Cię Stary). Samotne pokonanie tej trasy z pewnością byłoby trudniejsze...

Zastanawialiście się kiedyś dlaczego, jak się coś dzieje dziwnego lub niebezpiecznego, mamy do czynienia z jakimś bałaganem, „rozpierzuchą”, to kwituje się to całe zamieszanie określeniem -- ale Kongo!!! Nie wiem czy to sformułowanie dalej funkcjonuje w potocznej mowie, ale ja pamiętam je jeszcze ze swoich młodych lat. Kiedy przybliżymy sobie historię tego regionu nie mamy już wątpliwości czemu dzicz polityczna i bandyckie zamieszanie, kojarzy się z tą nazwą...Mało jest miejsc na ziemi, które z takim zaangażowaniem i konsekwencją niszczone i eksploatowane. Mordując przy tym, gwałcąc, wykorzystując w sposób niewolniczy zarówno mieszkańców jak i otaczającą przyrodę. Nie będę wchodził w szczegóły, ale jeśli ktoś zada sobie trud, łatwo znajdzie odpowiednie woluminy. Wystarczy jedynie zapoznać się z „Jądrem ciemności” Josepha Conrada lub „ Marzeniem Celta” Llosy, aby wyrobić sobie odpowiednią opinię. Nieszczęściem tej ziemi, jak to często bywa, jest ogromna ilość bogactw naturalnych, które można tam pozyskać. Prawdopodobnie jest to jedno z najbogatszych jeśli nie najbogatsze w minerały państwo świata. Odkrył to już Leopold II- król belgijski, który zapętniał sobie skarbiec pieniędzmi w czasie ery kauczukowej. Odkryli to pierwsi kolonizatorzy i „ odkrywcy”, przez kilka stuleci porywając i sprzedając czarnoskórych niewolników, oraz współczesne międzynarodowe koncerny, które przy pomocy „psów wojny” wszczywały brutalne rewolty, aby następnie ustanawiać kolejnych, posłusznych im dyktatorów. Wszystko po to, aby położyć łapę na złocie, diamentach i prawie całej tablicy Mendelejewa...

Kinszasa- miasto mroku

Noc -- wchodzimy na obdrapany hol budynku lotniska, który może jakieś pół wieku temu spełniał swoje założenie. W tej chwili bardziej przypomina sponiewierany barak koszar wojskowych. Wrażenie potęguje przydymione światło kilku odkrytych żarówek i znaczna ilość mundurowych, którzy z karabinami w rękach przyglądają się nieufnie jedynym białym, jacy podchodzą do prowizorycznej odprawy. Każdego z nas otacza kilku chłopaków i nie do końca jestem pewien czy mają nas pilnować czy pomóc w odbiorze bagaży. Ich spocone twarze nie budzą sympatii i sprawiają wrażenie bezdusznych masek. Długi czas wertują nasze dokumenty i mam podejrzenie, że do końca nie mają pojęcia co czytają. Trwa to jakiś czas i kończy się pytaniem w łamanej angielszczyźnie- czy jesteście żołnierzami? (Czyli generalnie mówiąc najemnikami...) Faktycznie mogli dojść do takich wniosków. Dużi faceci z czego ja- starym zwyczajem wyprawowym ogolony prawie na łyso, a Janusz „niezręcznie” ubrany w koszulkę koloru khaki. Zdecydowanie budziliśmy ich nieufność, zresztą trudno się dziwić- tam właściwie nie ma turystów. Kongo w większości odwiedzają różnego rodzaju typy spod „ciemnej gwiazdy”. Przedstawiciele firm, próbujących zrobić kolosalne interesy na eksploatacji bogactw, oferując w zamian wszelaką broń na potrzeby kolejnej dyktatury. Ten układ polityczno- bussinesowy trwa nieprzerwanie od kilku dekad i jakby na ironię występuje obecnie pod wzniosłą nazwą: Demokratyczna Republika Kongo.

Po jakimś czasie udaje nam się wyjść na parking lotniska nie uszczupleni o dziwo o kwotę pieniędzy, którą perspektywicznie mieliśmy przygotowaną na ewentualną łapówkę. Wszystko dookoła spowija mrok, ale nieopodal w blasku kilku lamp dostrzegamy nasz komitet powitalny. Chłopaki z poprzedniego etapu „Sztafety Nowaka” w towarzystwie Sylwka, misjonarza werbisty, machają nam zawzięcie rękami. W końcu sympatyczne światełko w dosyć ponurej rzeczywistości...Zapakowaliśmy się do auta Sylwka, ciesząc się ze spotkania, wzmacniając tę radość pewną ilością „napoju bogów”, który udało nam się przewieźć jako prezenty, a które to prezenty zostały celebrowane natychmiast... Błyskawicznie aura wokół nas jakby się rozjaśniła. Było to o tyle istotne, że rzeczywistość za oknem niestety pokrywała się z moimi wyobrażeniami o tym świecie. Jechaliśmy ciemnymi ulicami pośród rozwalających się budynków i skleconych naprędce baraków. Wokół bród, śmietnisko, kanały ściekowe i przemykające cienie mieszkańców. Co jakiś czas płonęło oknisko, zasilane często samochodowymi oponami i dające lekkie przebłyski światła, dzięki czemu tu i ówdzie można było dostrzec toczące się życie. Wszystko bardzo ponure i nieciekawe. Mimo ogromnego bogactwa, Kongo zmaga się non stop z kryzysem. Nawet jeśli nie toczy się tam wojna (a toczy się prawie bezustannie), to prawie całe miasto wygląda tak, jakby obecnie miała miejsce. W nocy przeważnie cała Kinszasa jest spowita ciemnością. Prąd jest towarem reglamentowanym i włączany cyklicznie tylko określonym dzielnicom.

Oczywiście znajdziemy tutaj miejsca zgoła odmienne: kolorowe i jaskrawe. Stolica Demokratycznej Republiki Kongo ma bowiem też inne oblicze. Oblicze bogactwa i dostatku, pięknych pałaców i biurowców, ale żeby tam się znaleźć trzeba mieć wpływowych znajomych lub bardzo dużo pieniędzy. To oblicze strzeżone jest przez armie żołnierzy lub firmy ochroniarskie. Ekskluzywne nieruchomości otoczone są kilkumetrowymi betonowymi płotami, zasiekami i drutami pod napięciem, które prawdopodobnie nie mają problemu z brakiem zasilania...

„Fortpocztą”

Od jakiegoś czasu odnoszę wrażenie, że w naszym kochanym kraju jedno jest pewne. Mamy za dużo głupoty, polityków i księży. (Podobno co czwarty ksiądz w Europie to Polak.) Jesteśmy, wszystko na to wskazuje, jedynym narodem na Starym Kontynencie, którego przedstawiciele grzeszą na tyle poważnie, że najmniejsza wioska lub dzielnica miasta, musi posiadać własną świątynię. Dodatkowo każda owieczka powinna mieć swojego pasterza, który ją poprowadzi, wytyczy „poprawną” drogą i zadba aby z drogi tej, broń Boże nie zboczyła. Jakaż to niesamowita ulga, że zdjęto z nas obowiązek decyzji -- jak mamy żyć, że pokazano nam światło oświecenia. Od razu człowiekowi robi się lżej na duszy...I wszystko byłoby Ok, nie czepiałbym się jak przysłowiowy rzep psiego ogona, no może to niezbyt fortunne porównanie. Noo, w każdym razie nie czepiałbym się, gdyby to wszystko było, nie wiem jakiego słowa mam użyć: ciepłe, empatyczne, tolerancyjne !? Cholera, co w rasie ludzkiej siedzi, że każdemu byle bubkowi, który dorwie się do jakiegokolwiek władzy, z czasem wydaje się, że „łyknął” patent na wiedzę. Pompują się szybko jak balony, a ich mania wywyższania się i chęć manipulacji jest nie do zniesienia. To wszystko sprawia, że zdecydowanie nie mam dobrej opinii o wszelkich pasterzach duchowych i to niezależnie od opcji religijnej jaką reprezentują. O politykach nie wspomnę, ale polityk generalnie jest nastawiony na łganie, łatwiej go rozszyfrować. Natomiast „przewodnik duchowy” podobno z założenia ma czynić dobro, pomagać potrzebującym i być przykładem. Powinien, ale niestety nie jest! Z drobnymi wyjątkami...

W Afryce od wielu lat trwa nieustanna wojna. Ma ona na celu pozyskanie jak największej ilości duszyczek, wiernych, wyznawców. Celem jest nie tylko „zbawienie” całej rzeszy Afrykańczyków. Celem są także obecne, jak i przyszłe pieniądze oraz polityczne wpływy w tej części świata. Walka jest bezpardonowa i często zostawia dużą ilość ofiar nie tylko w sensie mentalnym, ale również fizycznym, krótko mówiąc leje się krew.

Afrykańczycy są ludźmi o bogatym życiu duchowym, często jeszcze niedouczeni i zabobonni. Troszkę jak dzieci, łatwowierni i podatni na wpływ, bardzo łatwo ulegają manipulacji. Zarówno wielkim graczom rozdającym karty na religijnych polach bitewnych, takim jak Chrześcijaństwo czy Muzułmanizm. Ale także wszelkiej maści sektom, które powstają lawinowo i są często bardzo niebezpieczne. I o ile guru lub przedstawiciele sekt działają bez żadnych skrupułów, na zasadzie – po trupach do celu. O tyle na przykład Watykan działa w Afryce zgoła odmiennie. Wysyła na pierwszą linię frontu ludzi mądrych, wykształconych i ogarniętych pasją. Posiadających ogromną ilość tolerancji oraz wrażliwych na krzywdę ludzką - wysyła misjonarzy.

W swoich wożach niejednokrotnie ich spotykałem. Byli to przeważnie salezianie lub werbiści. Zakony te niejako specjalizują się w szerzeniu swojej wiary w odległych rejonach świata. Zdarzało się, że ich przedstawiciele byli narodowości polskiej, dzięki czemu wzajemna radość ze spotkania i chęć rozmowy z rodakiem szybko likwidowała bariery, błyskawicznie budując nić porozumienia i zaufanie. Niechętnie przyznaję, że osoby te budziły we mnie wielki szacunek i sympatie. Podziwiałem w nich wewnętrzny żar, zaangażowanie w swoją, często utopijną pracę i totalną potrzebę pomagania innym. Wyrzeczenia jakie ponoszą w trakcie swoich misji czasami potrafią szokować i nie ważne jest w danym momencie, jaki stosunek mam do nawracania. Jedno muszę przyznać -większość tych ludzi jest po prostu dobra. Starają się przez całe swoje życie trzymać tej zasady i to jest podstawowa ich rekomendacja. Ale z drugiej strony historia uczy, że straż przednia zawsze złożona była z najlepszych i najsilniejszych przedstawicieli. A później i tak przeważnie nastawało „bagienko”.

„Mundele”

Po godzinie dotarliśmy całą grupą do misji Werbistów. Sylwek wcześniej przyjął pod swój dach ekipę przed nami, a teraz ilość gości powiększyła się o kolejne dwie osoby. Ale wnioskując z jego stoickiego spokoju i lekkiego uśmiechu, błaskającego się po jego twarzy, nie był tym zmartwiony. Mimo naszego zmęczenia po podróży, pół nocy „dyskutowaliśmy” zapamiętane. Sylwek i chłopacy byli spragnieni newsów z Polski, my natomiast relacji z ich etapu. Zakończyliśmy coś koło 4 rano -- nie do końca pamiętam...

Rankiem stolica DR Kongo nie wyglądała już tak ponuro. Gwar na ulicach, odgłosy pędzących samochodów i krzyki handlujących, ożywiły to miejsce. Co prawda wrażenie, że maszerujemy przez wysypisko śmieci nie zniknęło, ale sami Kongijczycy nie przedstawiali się tak tragicznie, wręcz przeciwnie. Ich pstrokaty ubiór, gamą kolorów ubarwiał mury i szarość obdrapanych ścian. Zaszokowała mnie czystość osobista tych ludzi. Nie mogłem pojąć, jak możliwe jest życie na „wysypisku śmieci”, nosząc jednocześnie czyściutką, wyprasowaną koszulkę lub nieskazitelne białe spodnie. Wszyscy byli ubrani w spodnie i koszulki z długim rękawem. Z początku budziło to moje zdziwienie, że w tak gorącym i parnym miejscu, zakrywają większość część ciała. Myślałem, że jest to wynikiem jakiś kulturowych naleciałości lub religii. Ale po czasie okazało się, że ma to bardziej praktyczne znaczenie. Chodzi po prostu o ochronę przed komarami, które są w tych rejonach prawdziwymi zbrojami. Uśmiercają całe mnóstwo ludzi. Oczywiście nie od razu, ale generalnie *Anophles gambiae*, czyli komar malaryczny z Afryki, zabija więcej ludzi, niż wszystkie zwierzęta razem wzięte. Dotychczas nie wynaleziono ochrony przed tym bandytą. Są co prawda leki typu: Malarone lub Lariam, które można brać profilaktycznie przez cały okres pobytu w rejonach narażonych na ukłucie zarażonego komara. Ale są one na tyle niszczące wątrobę, że szpicikowanie się przez kilka miesięcy tymi specyfikami, może załatwić szybciej niż malaria. Dlatego też, mimo totalnej „parówki”, warto jest tam nosić odzież w miarę możliwości zakrywająca maksymalną powierzchnię ciała. Ale wracając do higieny, to oprócz misji, w żadnym miejscu nie spotkaliśmy sympatycznego kibelka lub w miarę sensownej łazienki, a naprawdę ani Janusz, ani ja do wybrednych na wyprawach nie należymy. Dlatego tym bardziej wielki szacunek Kongijczykom za ich starania i umiejętności w sferze higieny. Poważnie --jedyne śmierdziuchy, jakie spotkaliśmy na swej drodze w Kongo, to byli dwaj biali z Holandii. Lekko dziwni, podobno doradcy czegoś tam... Typy nie do końca sympatyczne, więc być może ich smród nieco przejąskrawiliśmy. Co prawda, żeby być szczerym, my w późniejszym okresie do pachnidełek z pewnością też nie należeliśmy.

Z początku jedno mnie zastanawiało w odbiorze Kongijczyków – ich wyraz oczu. Nie mogłem do końca rozszyfrować jaki jest ich stosunek do trzech białych, maszerujących po zaułkach Kinszaszy. Orowadzający nas Sylwek twierdził, że prawdopodobnie trochę się nas boją. Kiedy oddalaliśmy się na pewną odległość, za plecami dochodziły nas okrzyki -mundele, mundele... Były powtarzane z różnym natężeniem i nie do końca przyjazne. Nasz misjonarz tłumaczył dosłownie jako: biały, biały. Może i były oznaką ciekawości lub szoku, że widzą w tym miejscu inny kolor skóry -- być może. Miałem jednak wrażenie, że emanuje z nich garstka agresji pomieszanej ze strachem. Upewniłem się co do tego odczucia, kiedy kilkukrotnie zupełnie bez powodu, pokazano nam z pędzącego samochodu środkowy palec. Obojętnie jak chciałem ich zachowanie zinterpretować, to z pewnością do przyjaznych ono raczej nie należało. Dlatego też, już do końca swego pobytu, okrzyk „mundele”, może lekko na wyrost, ale zawsze kojarzył mi się z jednym : lękiem lub nienawiścią...

Ciut inaczej przedstawiała się sytuacja, jeśli chodzi o Kongijki. W tym przypadku spotykaliśmy się z innym zainteresowaniem, które zdecydowanie bardziej nam odpowiadało... (wiadomo - odmiennosc „kręci”). Szczególnie, że przedstawicielki lepszej połowy populacji tego kraju, to wyjątkowo piękne i zmysłowe panie. Zadbane, świadome swojej kobiecości, wielokrotnie zwracały naszą uwagę. (Oczywiście tylko w kwestii estetycznej!!!) Jeśli ktoś docenia urok na przykład Naomi Cambell (znanej czarnoskórej modelki), to podobne do niej osobniczki snują się, a właściwie „płyną” po ulicach Kinszasy, w ilości zdecydowanie nie pozwalającej się skupić. Nawet Sylwek, który będąc księdzem, niejako z założenie nie powinien zwracać uwagę na zmysłowość dam, nie potrafił przejść obojętnie. A kiedy zasugerowałem mu, dowiadując się iż tutejszy klimat bardzo poważnie zrujnował jego zdrowie, że powinien lecieć na przykład do Ameryki Południowej -- że tam słońce, brak malarii i podobno najpiękniejsze kobiety świata. To odpowiedział, z lekkim rozmarzeniem w oczach- piękniejszych kobiet niż w Kongo, nigdzie nie znajdziecie... Przyznaję mu pewną rację -- mają niezaprzeczalny urok. Zdecydowanie nie spoglądają z lękiem, tym bardziej z nienawiścią. Wiedzą czego chcą... i mają potężną ilość tak zwanego. „diabła w oczach”- coś, co mi osobiście, tak się podoba w dziewczynach. Generalnie rzecz biorąc, niezwykle niebezpieczne...

Natomiast, żeby nie było za pięknie -- jest drobna kwestia, która może studzić ewentualne zapędy hedonistów. Tą szklanką zimnej wody jest AIDS, który co prawda nie jest tak nagminny, jak w innych częściach Afryki, ale zbiera stosunkowo poważne żniwo. Następne ciche niebezpieczeństwo w Kongo.

Azymut Kananga

Przed nami do przepłynięcia około 1000 kilometrów. Trzy rzeki : Lulua, Kasai i Kongo zdawały się czekać na nas, w ostępach równikowej dżungli. Jednakże, aby do nich dotrzeć musieliśmy na początek dostać się samolotem do Kanangi, niedużego miasta w głębi Kongo, a następnie wynająć jakiś transport do Luebo, małej miejsciny, gdzie Kazimierz Nowak rozpoczął swoją przygodę z wodą. Wstępny plan zakładał, że wzorem naszego poprzednika, zakupimy łódkę dżubankę od miejscowych rybaków, ale nie byliśmy pewni, czy to się uda. Dlatego też, na wszelki wypadek zabraliśmy ze sobą kajaki pneumatyczne, dzięki czemu byliśmy w pełni niezależni.

Muszę przyznać, że kilkudniowy pobyt w Kinszasie był naprawdę ciekawy. Poświęciliśmy czas na końcowe dopieszczenie naszej wyprawy, ale przede wszystkim na wielogodzinne rozmowy z polskimi misjonarzami. Kilku z nich przebywa w Afryce już od kilkudziesięciu lat i objechali ją prawie w całości. Dla mnie, jako laika afrykańskiego, byli oni przebogatą skarbnicą wiedzy o historii, mentalności i zawirowaniach politycznych tego kontynentu. Gdyby nie nasza wyprawa, obwarowana pewnym przedziałem czasowym, z chęcią zostałbym dłużej w gościnie u tych ciekawych ludzi. Niestety obraz Afryki, jaki malowali przede mną, tak jak przypuszczałem nie przedstawiał się zbyt kolorowo...

Sylwek z niepokojem w oczach zegnał nas na lotnisku. Martwił się naszym etapem i do końca nie dowierzał, że nam się powiedzie. Odprawa poszła jako zgrabnie, być może dlatego, że lecieliśmy na linii krajowej. Maszerowaliśmy po rozgrzanym pasie startowym do samolotu „Kongijskich Linii Lotniczych”. Z oddali nie prezentował się tak źle, ale kiedy zbliżyliśmy się, zacząłem się zastanawiać -- które to jego życie? Podobno samoloty latające w rejonach bardziej cywilizowanych, po wyśłużeniu pewnych lat zostają sprzedawane dalej. Najczęściej do Ameryki Południowej albo na Kubę, aby znowu po kilku latach zostać przekazane w niektóre rejony Afryki. Generalnie dawno powinny być złomowane i często lepiej byłoby polecieć na odkurzacz, niż wsiadać do takich egzemplarzy. Niestety, nasz aeroplan wyglądał jakby właśnie przechodził trzecie życie i zdecydowanie nie wzbudzał zaufania. Później dowiedzieliśmy się, że w Kongo katastrofy lotnicze są na porządku dziennym i nikt się nimi specjalnie nie przejmuje. Tak zwane ryzyko transportowe.

Lubię latać, nie budzi we mnie niepokojem turbulencja czy informacja o kolejnej katastrofie. Jednakże w momencie zapinania pasa przed startem, odczuwałem pewien niepokój, jakieś intuicyjne zdenerwowanie. Janusz siedział jeden rząd za mną i nawzajem rzucaliśmy sobie jakieś zabawne uwagi na temat jakości sprzętu, którym przyszło nam lecieć -- było wesoło. Po kilku minutach silniki zaryczały i samolot rzucił się do przodu jak hart zerwany ze smyczy. Wszystko dookoła piszczalo i kwiczało, trzęsąc się jakby w każdej chwili pojazd miał się rozpaść. Ale Kongo... -pomyślałem i w tej samej chwili samolot oderwał się od ziemi. Szedł ostro w górę i wszystko wskazywało, że jednak ta kupa złomu lata. Nagle silniki zmieniły swoją muzykę. Miałem wrażenie, iż przestały działać. Samolot jakby stracił ciąg i zaczął powoli prostować swój lot. Przyducha -pomyślałem, czyli w moim rozumieniu utrata mocy. Nie zdążyłem się nawet dobrze zdenerwować, kiedy z powrotem, wyjął jeszcze bardziej przeraźliwie, odzyskały swoją siłę. Trwało to może dwie, trzy sekundy. Odwróciłem się do Janusza i pytam -- K...wa, czułeś to? Czy mi się tylko wydawało? -Miał interesujący wyraz twarzy, coś jakby zaciekawione oczekiwanie. Po pewnym czasie powoli pokręcił głową - Chłopie, nic nam się nie wydawało - odpowiedział...

Wierzcie mi, nie jestem malkontentem. Nie znajduję na każdym kroku powodów do marudzenia i utyskiwania. Nie krytykuję wszystkiego dookoła tylko dlatego, że nie zgadza się to z moją osobistą wizją świata. Jako gość z lekką tendencją hedonistyczną, mam raczej skłonności do wynajdywania motywów zabawnych, cieszenia się z życia i korzystania z niego w sposób maksymalny. W swoich podróżach staram się odbierać świat w odcieniach szarości, a nie tylko w sposób czarno-biały. Próbuję jednocześnie lekko analizować to co widzę i nie formułować wniosków w sposób jednoznaczny.

W czasie mojej afrykańskiej przygody, ale przede wszystkim po jej zakończeniu, poznałem ogromną ilość ciekawych ludzi, którzy kochają ten kontynent miłością pełną i bezkrytyczną. Często zjeździli jego najdalsze rubieże i byli w miejscach, do których nie trafimy z żadnym biurem podróży. Miałem szansę oglądać tysiące fotografii i słuchać opowieści często zapierających dech w piersiach. Wielokrotnie „narkotyk” afrykański, jakiemu ulegli, powoduje w nich chęć angażowania się w pomoc. Poświęcają Afryce swój czas, pieniądze i potężne zasoby energii. Jestem przekonany, że jak najbardziej jest to piękne, wspaniałe i godne szacunku. Mój problem polega jednak na tym, że ja niestety ich nie rozumiem...

Żeby było wszystko jasne -- nie chcę się wymądrzać. Spędziłem tam nieco ponad miesiąc. Tak naprawdę moje osobiste doświadczenia związane z Afryką, są prawdę mówiąc żadne. Dodatkowo trzeba przyznać, przemierzyłem rejon specyficzny i prawdopodobnie nie mogący być w żadnym stopniu miarodajny w próbie rzetelnej oceny Afryki. Jednakże długie „rozmowy Polaków”, wymiana opinii, słuchanie osobistych wrażeń ludzi dużo bardziej znającymi ten rejon, wyklarował w mojej głowie być może powierzchowną i subiektywną, ale własną opinię. Zwłaszcza obserwacje i poglądy misjonarzy afrykańskich, były dla mnie w jakiś sposób wyrocznią, gdyż bezsprzecznie znajdują się najbliżej problemów czarnego kontynentu. I niestety moja wizja co do przyszłości Afryki, stała się jeszcze bardziej przygnębiająca, niż ta jaką posiadałem przed moją wizytą.

Może podpadnę wielu moim znajomym ze sztafety „Afryki Nowaka”, ale słuchając ich przygód z różnych etapów, często zastanawiałem się - czym do cholery oni się tak zachwycają? Obraz wyłaniający się z ich opowieści, pokazywał niestety ewidentną dominację cywilizacji nad naturą. Cywilizacji do tego brudnej, zaśmieconej i borykającej się z konfliktami zbrojnymi w wielu jej częściach. Cywilizację przeludnioną i głodną, żyjącą w strachu przed kolejną wojną lub emigracją. Gdzie gościnność i zaufanie jest towarem luksusowym, a biały jest traktowany jako zbój lub chodzący bankomat. Porównanie stosunków społecznych panujących w Afryce, z mentalnością i otwartością na przykład Mongołów, Sybiraków, albo ludzi z Ameryki Południowej, nie jest możliwe. Są to totalnie dwa różne światy. Zdaję sobie sprawę, że wina nie leży tylko po stronie Afrykańczyków, ale całego tego chorego systemu, który zżera kontynent od kilkuset lat. Nie staram się ich oceniać. Stwierdzam tylko po prostu pewne fakty.

Najgorsze jest to, że destrukcyjne działanie człowieka powoduje ogromne skutki w sferze przyrody. Życie, jakie można jeszcze zobaczyć w materiałach filmowych stacji Discovery lub Animals Planet, niedługo będzie jedynie historią. Występuje ono jeszcze na bardzo małych obszarach Afryki, w ściśle chronionych parkach narodowych. Często z narażeniem życia, pilnują tej reszty przyrodniczego skarbu strażnicy wyposażeni w broń, albo międzynarodowe organizacje ekologiczne. Wystarczy jednak pierwsza lepsza „zawierucha” wojenna, taka jak w Ruandzie, Somalii czy Angoli, aby większość przedstawicieli fauny danego rezerwatu, bezpowrotnie zniknęły w brzuchach ludzi. Ewentualnie przerobione zostaną na popielniczki, afrodyzjaki i trofea ściennie. Taka niestety jest gorzka prawda. Dla przykładu największy naczelny na świecie - goryl górski, występujący jedynie w górach Wirunga i lasach Ugandy, w trakcie wojny sił rządowych z rebeliantami został na tyle poważnie przetrzebiony, że spotkałem się z opiniami, iż zostało jedynie szesnaście stad, żyjących na wolności. Zakładając teraz, że rodzina składa się średnio: z ośmiu osobników, można sobie policzyć ich populację. Jeszcze siedemdziesiąt lat temu, za czasów podróży Kazika, rzeki którymi płynęliśmy, obfitowały w ogromne ilości krokodyli i hipopotamów. Wylegiwały się one całymi stadami na mierzajach i wysepkach rzecznych. Teraz natomiast udało mi się cudem dostrzec jednego małego krokodylka, który był tak spanikowany, że nawet nie zdążyłem zrobić mu fotografii. Hipcio natomiast, to już w ogóle marzenie ściętej głowy. A przebywaliśmy podobno w jednym z najdzikszych miejsc Afryki!

Nie mam ochoty słuchać wciąż o problemach Afryki, lub inaczej, problemach całego świata z perspektywy jedynie człowieka, kiedy jednocześnie z każdym rokiem świat równie ważny co ludzki, jest tak totalnie degradowany. Nie chcę się zachwycać czymś, co w mojej ocenie na zachwyty nie zasługuje. Oczywiście moja wizja Afryki, jak sam tytuł wskazuje, jest oceną laika i na pewno spotkam się z wieloma adwersarzami, którzy będą mieli totalnie inny odbiór. Ale dotychczas nikt z moich dyskutantów nie zmienił mojego zdania i dalej trwam w przekonaniu, że parafrazując znane powiedzenie -- Człowiek jednak nie brzmi dumnie, człowiek raczej brzmi durnie...